

BOLESŁAW PRUS:

Historia nieprawdopodobna.

Pan Adam nie wysoki, nieco okragły mężczyzna, z pocziwym wyrazem twarzy, rozparł się na skórzanym fotelu przed biurkiem, uległ w tej chwili ciężkiemu paroksyzmowi zdumienia. Spoglądał na sufit, targa wąsy, pociera błyszczącą tylną i od czasu do czasu powtarza:

— Nadzwyczajnie! niebywałe!... Gdybym nie rozmawiał z sędzią, byłbym pewny, że Ludwik albo kłamie, albo oszalał... Niestychana rzecz!...

W przedpokoju słychać dzwonek. „Czy znówu on?”... myśli pan Adam i z szybkością bilardowej kuli, pchniętej ręką mistrza, pędzi do drzwi, które już otworzyła służąca.

— Ach, to pan Tomasz?... — wykrzykuje Adam.

— Witam drogiego pana — odpowiada gość i, po wymianie obowiązkowych uścisków, wchodzi z gospodarzem do jego pracowni. Gość jest szczupły, szpakowaty i niezwykle grzeczny. Z trudnością daje się uprosić, ażeby pierwszy usiadł, zaciera ręce znowu ściska gospodarza i mówi tonem uprzejmie zakłopotanym:

— Z góry przepraszam pana, że osmielię się poruszyć pewną drażliwą sprawę...

— Oh!... pomyślał pan Adam.

— W tych dniach, jak zapewne szanownemu panu wiadomo, u mojej siostrzenicy ma się odbyć ceremonia chrztu świętego... Ojcem chrzestnym, co dla drogiego pana bez żadnej kwestii nie jest tajemnicą, miał być szanowny siostrzeniec pański, pan Ludwik Pokrywalski...

— Kohot-Pokrywalski... — wtręcił pan Adam.

— W istocie!... — pochwytywa gość — pan Luowik Kohot-Pokrywalski... Moja siostrzenica, jej mąż i cała nasza rodzina była wprost uszczęśliwiona, że choć tym sposobem zawrze niby pokrewieństwo z tak miłym człowiekiem, jak pan Pokrywalski...

— Kohot-Pokrywalski...

— Kohot-Pokrywalski — ciągnął gość. — No, ale od tej chwili zaczyna się dla mnie wobec szanownego pana trudna sytuacja...

— Proszę... niech pan będzie szczery...

— Ponieważ pan rozkazuje, więc będę nim — mówi gość. — Zresztą zapewne i do pańskich uszu doszły niedorzeczne plotki, kursujące od kilku dni...

— Ależ niech szanowny pan nie ukrywa... błagał pan Adam.

— Skoro zmusza mnie drogi pan, więc powtórzę, co mówią... Otóż opowiadają, że wszelkimi detalami, że szanowny pan Ludwik miał jakąś przykrą awanturę w kabinie... że polieya, nie z „ochany”, ale z wydziału śledczego, robiła u niego rewizję... że: nawet aresztowała pana Ludwika... A co najciekawsze, że kochany pan Ludwik, który dość wyraźnie starał się o życzliwość naszej kuzynki panny Wandy, ma w tych dniach żenić się z jakąś starą i brzydką babą...

— Panna Idalia Dusigrosz-Złotnicka nie jest brzydką... — wtrąca nieśmiało pan Adam.

— Zwiędła cera... zapadnięte usta... śpiący nos... — odpowiada gość, najuprzejmiej zaciera ręce.

— Ale figural...

— Nawet kamienna figura pleśniej po czterdziestu latach...

— Panna Idalia nie ma czterdziestu lat!... — protestuje gospodarz.

— Ma, proszę pana i to z czubkiem — słodko mówi gość. — Ale jej kamienica o trzech podwórkach i stu trzydziestu lokalach, zastania wiek i niedoskonałości fizyczne, podczas gdy nasza kuzynka Wanda nie ma nic!... — dodaje z westnieniem, podnosząc ręce do góry.

— Ma, panie, ma!... Panna Wanda ma najcenniejsze skarby, jakie winna posiadać kobiety! — woła pan Adam, chwytając gościa za obie ręce. — Panna Wanda ma młodość, ma zdrowie, ma piękność i ma wujka... wujka takiego jak pan dobrodzieju!...

— Taki wuj, to zaledwie kilka tysięcy rubli po śmierci... to nie kamienica z dwoma frontami!... — szepce gość, oddając panu Adamowi uściski.

— A stosunek?... a protekcji?... — uśmiecha się pan Adam.

Na wzmiankę o stosunkach oczy pana Tomasza błysnęły. Uderzył dwoma palcami w biorko i zawołał:

— Otóż to boli mnie najwięcej!... Umi-

zgał się... bałamucił dziewczynę... i właśnie, gdy dzięki moi stosunkom, otrzymał posadę na 800 rubli w banku, w ciągu kilku dni porzuca nieszczęśliwe dziecko i żeni się ze starą babą, posiadaczką kamienicy!...

Pa Adam podniósł się z fotelu i kładąc rękę na sercu rzekł:

— Szanowny panie mój siostrzeniec, Ludwik Kohot-Pokrywalski, jako człowiek honoru, jako dżentelman, musi ożenić się z panną Idalią...

— A więc i ja bałamucił?... —

— Boże ucho!... Pazneł ją w tym samym nieszczęsnym dniu, albo lepiej powiedzmy: tej samej nocy, kiedy na łaskawą protekcję pańską otrzymał wyższą posadę...

— Awantura!... — mruknął gość.

— Nadzwyczajna... niesłychana... nieprawdopodobna awantura — mówił wzburzony pan Adam. — Ale ponieważ Ludwik ma być kumem szanownej siostrzenicy pańskiej... i naprawdę był... przyjacielem... szczerym... bezinteresownym przyjacielem panny Wandy...

— Jak na przyjaciela za bardzo przewracał oczyma...

— Młody chłopak... przystojny...

— Gdzie on przystojny?... — syknął gość. — Nawet nie rozumiem, z jakiej racji ten człowiek uchodzi za donzuana.

— Ładny wzrost, zgrabna figura i błękitne, marzące oczy — mówił pan Adam. Taki chłopak na każdej kobiecie robi wrażenie konkurenta... A wreszcie, jeżeli kiedy był nieco lekkomyślnym, ciężko odpokutował!... Opo wiem szanownemu panu te hajeczne historie...

— Ciekawym... — odpowiedział gość tonem źle ukrytego lekceważenia i założył nogę na nogę.

Pan Adam chwilę odpoczął, odchrząknął i — mówił:

— Jaki to dziwny zbieg wydarzeń, że początkiem nieszczęść Ludwika...

— Pan, Kohot-Pokrywalskiego... — wtrącił uprzejmie gość.

— Szanowny pan umie być złośliwym!... No, ale mając taki żal...

— Mogę drogiego pana zapewnić, że ani nasza kuzynka Wanda nie mamy najmniejszego żalu do pańskiego siostrzeńca... — zawołał gość. — Dozgonny związek dwojga ludzi, nie oparty na przywiązaniu, toż to więzienie!... Zresztą słucham...

— Otóż początkiem nieszczęść mego siostrzeńca, był... awans w banku, awans, który Ludwik zawdzięcza pańskiej protekcji...

— Piękna wdzięczność!...

— Tego poparcia mój siostrzeniec do śmierci nie zapomni szanownemu panu a przynajmniej nie powinien zapomnieć... Ale niech pan chwilę będzie cierpliwym...

— Mogę zapewnić, że nawet zachowanie się pana Kohot-Pokrywalskiego nie wyczerpało mojej cierpliwości...

Pan Adam zrobił lekki ukłon głową i ciągnął dalej:

— Pewnego dnia, nad wieczorem, Ludwik otrzymał następujący bilecik: „Winszuję, przed półgodziną awansowałeś pan na ośmset rubli. Dyrektor — Wyciskiewicz”. Kiedy Ludwik przeczytał tę nowinę, zdawało się, że radość serca mu rozsadzi... Chciał skakać, śpiewać, kilkanaście razy obejrzał bilecik, wreszcie włożył go do pugilaresu na swoje bilety wizytowe i postanowił upamiętnić awans jakąś uczciwą rozrywką...

— I poszedł do knajpy — wtrącił gość — jeżeli nie do czegoś gorszego...

— Szanowny pan nie sprawiedliwy... Ludwik poszedł do pierwszorzędnej restauracji, którą sam pan nieraz odwiedzał w uroczystych momentach życia.

— Aha, więc znowu ja będę winien...? — spytał gość.

— Ani myślałem robić podobnego zarzutu... Otóż Ludwik na uczczenie pomyślnego skutku pańskiej protekcji, kazał sobie w restauracji podać mały... maciupęłki kielszeczki: pomaraczówki, jakieś mięso... karafkę lekkiego wina... Ale jadł i pił bez apetytu. Rozmazał go muzyka, światła elektryczne... Co chwilę wydobywał pugilares i odczytywał bilecik dyrektora Wyciskiewicza, jakby nie do wierzał pamięci...

Nareszcie spostrzegłszy, że inni goście zwracają na niego uwagę i chcąc wyrwać się z pod czaru nowej posady, zaczął machinalnie oglądać się po sali. Gdzieś, w kącie, dojrzał kilku adwokatów wesoło omawiających jakiś stryczkowy proces; przy innym stoliku chichotały dwie artystki w towarzystwie pięciu wielbicieli, z których jeden był w grubej żałobie, a najbliżej, o parę kroków od siebie, spostrzegł Ludwik plecy ogromnego, siwego pana i... cudną buzię może ośmastoletniej panienki, Jej szare oczy wołały: patrzcie na mnie!... ciemne włosy upominały się o pieszczoty, a cudne usteczka nasuwały myśli o pocałunkach.

— Widzę, że drogi pan jeszcze nie gardzi kobietkami?... — zauważył gość.

— Wiernie powtarzam, co słyszałem od Ludwika, który był tak przejęty, naturalnie czystym, duchowem uwielbieniem dla nieznanym dziewczeczki, że, skłaniając się na snującą się między stolikami kwiatarkę, nabył kilka bukietów i zaczął rzucać je pod stopy ślicznej panienki...

Gdy cichnął pęczek fiołków — panienka zarumieniła się, gdy dorzucił parę gałązek konwalii — uśmiechnęła się, a gdy mniej zręcznym ruchem posłał jej ciemną różę, stary jegomość nagle odwrócił się i spojrzał na Ludwika... Chłopak twierdzi, że jeszcze nigdy w życiu nie spotkał się z podobnym wejściem. Było ono łagodne, lecz tak hipnotyzujące, że Ludwik poczuł, iż cokolwiek rozkażałby mu nieznamy starzec (podobny do króla belgijskiego) mój siostrzeniec spełnił to bez wahania.

Tymczasem ogromny mężczyzna wyjął bilet wizytowy i, podając go Ludwikowi, a zarazem ciągle patrząc mu w oczy, rzekł:

— Ponieważ nie przypuszczam, ażeby pan zapomocą swoich bukietów chciał zwrócić uwagę mojej wnuczki, więc domyślam się, że manifestację kwiatową urządził pan pod moim adresem. Postaram się wywdzięczyć za ten hołd, a oto moje nazwisko.

Sporunowany Ludwik zerwał się z krzesła, coś wybełkotał, machinalnie sięgnął do kieszeni paltota i, podawszy rękę pięknej panience, opuścił restaurację. Zachwycająca dziewczynka, wychodząc, uśmiechała się, że nie widzi Ludwika.

Teraz dopiero mój siostrzeniec stopniowo zaczął odzyskiwać przytomność. Spojrzał na bilet starca i nie bez zdumienia przeczytał: „Dr. Paracelsus Magus ul. Floreńska, 36, m. 1”. Tknięty przeczcuciem otworzył pugilares i — przerażony — spostrzegł, że wszystkie jego bilety są na miejscu, ale za to niema kartki zawiadamiającej go o świeżym awansie. Odurzony chłopak zamiast swego, oddał nieznanemu bilet dyrektora Wyciskiewicza!

Ani chwili nie wahając się, wybiegł na ulicę, lecz tam już nie było Magusa. Więc, bez względu na późną godzinę (była już 10-ta wieczór), pomyślał o dostaniu się na ulicę Floreńską. Bo jakież byłoby to skandal, gdyby np. jutro, stery doktor złożył wizytę Wyciskiewiczowi i robił mu wymówki za nieszczęsne kwiaty, rzucane przez Ludwika?... Siadł więc chłopak w pierwszą lepszą dorożkę i, po kilku minutach, znalazł się na ulicy Floreńskiej pod numerem...

— Trzydziestym... cha! cha!... śmiał się gość. — Doktor Paracelsus Magus, znany dziwak, naprawdę mieszkał pod wymienionym adresem, ale... cha... cha!... od dziesięciu lat już nie żyje...

— Tu właśnie zaczynają się nadzwyczajności!... — wtrącił pan Adam.

— Nieboszczyk istotnie był nadzwyczajnym oryginałem — mówił gość, ciągle śmiejąc się. — Leczył swoich pacjentów elektrycznością, światłem, ścieśnieniem powietrzem...

— Właśnie... właśnie... usłyszysz pan o machinie do ścieśniania powietrza...

— Ja już wiem o niej — ciągnął gość. — Doktor Paracelsus umarł w biedzie, ale że gospodarzowi swemu, Dusigrosz-Złotnickiemu, był winien komorne za pół roku, więc chciwy kamienicznik zagarnął po uieboszczyku wszystkie narzędzia, a między innemi, machinę do zgęszczania powietrza. Panna Idalia ma skutkiem tego większy posag...

— Cieszę się, że pan sam to opowiedział — rzekł pan Adam — bo teraz przekona się pan, że w opowiadaniu Ludwika nie ma ani cienia mistyfikacji...

— Awantura tak dobrze się zaczyna, że słucham jej z przyjemnością... — odpowiedział gość, nie przestając się śmiać, ale w sposób godny dobrze wychowanego człowieka.

— Gdy Ludwik zadzwonił do mieszkania pod numer pierwszy, otworzył mu drzwi sam doktor Magnus i, milcząc, poprowadził przez kilka pokoiów, do swojej fizyko-medycznej pracowni, gdzie na środku stało pudło metalowe, wielkości małego pokoiku...

— Machina do ścieśniania powietrza!... — wtrącił gość.

— Tu doktor zwrócił się do Ludwika, który szedł za nim jak automat, i rzekł:

— Za afront, wyrządzony mojej wnuczce musisz odpokutować...

Ludwik chciał odpowiedzieć;

— Ależ miałem jak najuczciwszą zamiary względem pańskiej wnuczki!... — głosu mu



No 25

z Sygnowiska Strony

"Książka"

Wł. Wł. Wł. Wł.

Ludwik wszystko słyszał i doskonale rozumiał, że dokonywa się nad nim jakaś przymoc; lecz nie mógł ani ruszyć się, ani nawet ustnie zaprotestować. Tymczasem metalowe drzwi zatrzasnęły się, a w okienku, z grubego szkła, ukazała się smutna i przerażona twarz panny Idalii.

— Czy mogę panu czem służyć? — zapytała po chwili przez telefon. — Czy mogę panu przynieść jaką ulgę?...

— Niczem i żadnej! — odpowiedział z nietajonym gniewem Ludwik, któremu fizyologia panny Idalii wydała się wstrętą. On ma być jej własnością!... własnością kobiety prawie starej i bardzo brzydkiej...

— A widzi drogi pan?... — odezwał się gość. — Czy nie mówiłem, że to stara baba?

— Ludwik myślał w taki sposób pod pierwszym bolesnym wrażeniem i nie miał jeszcze sposobności poznać bliżej panny Idalii...

— A więc poznał ją bliżej?...

— Mam na myśli jej duchowe zalety... — z godnością odpowiedział pan Adam.

— Ja także... ja także!... — z pośpiechem dorzucił gość.

Po króciutkiej rozmowie panna Idalia usiadła na kanapie pod ścianą na sali, a mój siostrzeniec przypatrywał się jej przez okienko — zapewne z nudów, gdyż nic lepszego nie miał do roboty. Przy silnym blasku lampy elektrycznej wyraźnie widział jej bujne, nieco rudawe włosy (może przyprawione!), twarz zwiędłą, jakby niezdrową, wąskie usta z żałośnie opadniętymi kącikami i nos... nos czerwony, którego koniec niekiedy potyskiwał, odbijając światło lampy.

— A niechże cię kuś bij!... — mruknął mój siostrzeniec. — I to ja... mam być własnością tej rudej wiedźmy... To chyba garderobiana cudownej wnuczki Paracelsa Magusa?...

Wprawdzie spostrzegł, że ciemna suknia panny Idalii jest dobrze skrojona, dzięki czemu, właścicielka jej wyglądała dość zręcznie, nawet bardzo zręcznie; ale czy to jedna pokojówka ma ładną figurę?...

— I ja mam być jej własnością? — myślał nieszczęśliwy chłopiec.

Przywidziało mu się, że głowa panny Idalii jest środkiem kwiatu, którego korona składa się z takich oto płatków, jak: wstręt, pogarda, nienawiść, chęć zemsty...

— Ach, gdybym mógł spalić ją na proch spojrzaniem!...

W tej samej chwili panna Idalia, jakby tknięta prądem niewidzialnym, drgnęła, podniosła się z kanapy i wyszła z sali.

— A idź na złamanie karku!... — mruknął mój siostrzeniec.

— Widzę z tego, że pan Kohot-Pokrywalski potrafi być bardzo nieuprzejmy dla płci pięknej... — wtrącił z lekkim uśmiechem gość.

— Ale niech pan zwróci uwagę, w jakich to było warunkach — odpowiedział pan Adam.

— Zawsze nazywać kobietę wiedźmą i posyłać ją na złamanie karku — to chyba nie ładnie...

— Ciężko też został biedak ukarany...

— Słucham... słucham! — szepnął gość.

— Gdy panna Idalia znikła, — powiedział pan Adam — mojemu siostrzeńcowi przyszło do głowy bardzo proste, bardzo naturalne pytanie:

— Po co ja mam siedzieć w tej żelaznej pułapce? Przecież drzwi jej nie są chyba zamknięte na klucz?...

Uniósł się na szesłagu — i poczuł ociężałość w rękach i nogach, choć władał nimi dosyć dobrze. Lecz, gdy wyciągnął rękę w kierunku klamki, zdawało mu się, że organ ten waży przynajmniej z kilkaset funtów i toż samo nogi. Aż zatoczył się i stuknął głową w żelazną ścianę pudła.

— Co to znaczy?... — rzekł do siebie. Drugi raz powtórzył ten sam ruch i znowu poczuł straszny, niepokonany ciężar własnego ciała. Nawet marzyć nie mógł, nie tylko o otworzeniu drzwi, ale choćby tylko o dosięgnięciu klamki... Zdawało mu się, że przestał być człowiekiem, lecz zamienił się w bryłę ołowiu...

Po chwili nowe wrażenie: spostrzegł, że pulsa biją w nim gwałtownie, że oddycha prędko i jakby płytko... Chciał westchnąć głębiej — nie podobna!...

— Ależ ja się duszę!... — zawołał. Ogarnęła go trwoga. Zadyszany zerwał się, zatrzepotał rękoma i, prawie upadając na szesłag, dotknął dzwonek, który odezwał się gwałtownie, z przerwami, jak wołanie o ratunek.

Upłynęło pół minuty, może minuta, może dwie.

— Jestem zgubiony! — szepnął mój nieszczęśliwy siostrzeniec. Jednocześnie szcęknięte drzwi, uchyliły się i — Ludwika owionęło świeże powietrze. Uczuł, że wraca mu życie i... rzewna wdzięczność zbudziła się w jego sercu.

— Kto to? — zapytał omdlewającym głosem.

— Ja — szepnęła panna Idalia.

— Jaka pani dobra!

Idalia nieśmiało wsunęła głowę do pudła, a w tej chwili wydała się Ludwikowi mniej wstrętą.

— Muszę być bardzo chory?

— Istotnie wygląda pan blado... wino musiało być nadto mocne.

— Pani myśli, że jestem pijany?

— Sama nie wiem co myśleć!...

— Pani tutaj mieszka?

— Tak jest.

— Czy w obowiązku u doktora? — zapytał Ludwik.

Panna Idalia zdziwiła się.

— Ja nie jestem w obowiązku... jestem właścicielką tego domu.

— Właścicielką? — pomyślał Ludwik, a głośno dodał:

— Zdaje mi się, że to jest wielki dom?

— Bardzo — odpowiedziała. — Kilka razy za wielki w stosunku do moich potrzeb.

Teraz Ludwik spostrzegł, że suknia panny Idalii jest skrojona i uszyta przepysznie, a jednocześnie zobaczył na palcu lewej ręki pierścionek z brylantem wielkości dużego ziarna grochu. A ponieważ czuł, że może oddychać głęboko, że nie dusi się i że tętna biją mu spokojnie, więc, wzruszony, cicho szepnął:

— Pani jesteś aniołem!

Panna Idalia zarumieniła się, uśmiechnęła i cofnęła za drzwi metalowe.

— Jeżeli będzie pan czego potrzebował, proszę dzwonić.

— Upokorza mnie pani swoją dobrocią...

Czy będę śmiały?...

— Jestem gotowa na każde skinienie.

— Czy nie miałem słuszności, nazywając panią aniołem?

Drzwi zatrzasnęły się. Ludwik chciał znowu wyciągnąć do klamki rękę, ale znowu opadła mu, jak ołowiana... Biedny chłopak przymknął oczy i przed jego imaginacją stanęła długa, czteropiętrowa kamienica, przynajmniej z dwudziestoma oknami frontu. Przypominał też sobie całkiem mimowoli, że, wchodząc w bramę, spostrzegł w głębi jakby kilka podwórek, długi szereg podwórek.

— Ależ to kosza! — nie kamienica! — szepnął z melancholijnym uśmiechem. Miał też biedak o czem myśleć w swoim okropnym położeniu...

Znowu szcęknięte drzwi i znowu stanęła w nich panna Idalia uśmiechnęta, prawie upiękaszona. Trzymała w rękach tacę z syfonem wody sodowej i karafinką jakiegoś likworu (był to syrop pomarańczowy), a zaś w małych, bardzo kształtnych uszkach, miała kolczyki z brylantami chyba wielkości bobu. Mój siostrzeniec formalnie osłupiał. Panna Idalia, milcząc, postawiła tacę na stoliku i — ciężkie drzwi znowu zatrzasnęły się.

Ludwik z trudem podniósł się, nalał syropu, potem wody. Wypił. Orzeźwiło go, lecz tylko na chwilę. Znowu opanowały go myśli smutne, atakowały wrażenia coraz przykrejsze. Bezwładność rąk i nóg wcale się nie zmniejszyła, owszem, wzrosła. Ogarniało go ołurzenie i zdawało mu się, że ciężkie drzwi i żelazne ściany pudła, w którym siedział, kładą mu się na piersiach, gniotą, miażdżą...

Zaczął go ogarniać nowe uczucie. — Dotychczas — opowiadał mi Ludwik — myśl moja była podobna do angielskiej gazety, złożonej z kilku arkuszy, zadrukowanej od góry do dołu, upiękaszona ilustracjami, przepełniona wiadomościami ze wszystkich części świata, ze wszystkich sfer towarzyskich. W tej chwili jednak duch mój stał się podobny do olbrzymiego arkusza papieru, na którym czerniło się zaledwie kilka zdań, wśród przerażającej pustki.

Oto owe dziwaczne zdania: „Ta kobieta o cynamonowych włosach ma prześliczne, arystokratyczne rączki... Mogłem przypatrzeć się im, kiedy przyniosła wodę sodową na grubej tacy srebrnej”... Tu nastąpiła w myślach pustka... biały arkusz rozszerzył się do rozmiarów dużego płacu... I znowu parę zdań... „Cudowne kolczyki!... takimi brylantami możnaby przez szereg lat pokrywać moją podwyższoną pensję... Ale dlaczego ona ubrała się w te kolczyki do mnie?... Fałsz! Kobieta tak pełna godności, nigdy nie dopuściłaby się podobnego nietaktu. Oczywiście, musiała wrócić z wizyty, kolczyki miała ciągle w uszkach, ale ja nie dostrzegłem ich w pierwszej chwili”...

Z marzeń znowu rozbudził go puls przypieszony i płytki oddech. Mój siostrzeniec pragnął zapanować nad sobą; lecz, gdy mu tchu zabrakło — dotknął dzwonek... Drzwi pudła otworzyły się w ciągu kilkunastu sekund.

— Pan bardzo cierpi? — zapytała wylekciona Idalia.

— Strasznie! — odpowiedział. — Ale najgorsze jest to, że czuję jakby paraliż członków i utratę zdolności myślenia. Nie potrafię opowiedzieć pani, jaki to jest okropny stan, kiedy człowiek znajduje się wobec unicestwienia własnej duszy... Och, jakże jestem nieszczęśliwy... jakże się męczę! A w dodatku ciągle widzę przed sobą te straszne, przejmujące oczy doktora Magusa.

— Pan go zna?

— Tak, na moje nieszczęście... Nie mogę zapomnieć jego hypnotyzującego wzroku.

— Co? hypnotyzm? — zawołała panna Idalia. — O, z hypnotyzmem damy sobie radę!

Mówiąc, położyła śliczne rączki na czole mego siostrzeńca i zaczęła wykonywać ruchy odgarniające. Po kilkunastu „pasach” Ludwik spokojnie oddychał i odzyskał panowanie nad

